

Hipoteza starego freudysty

Jak wie każdy posiadacz kozetki, stłumienie jakiegoś instynktu nigdy nie znika bez śladu: ten otorbia się owszem. Sublimuje. A czasem, w sprzyjających okolicznościach żal, uraza, upokorzenie sprzed trzydziestu lat wybijają na powierzchnię jak wulkan. I oto – wybiły. Grudki zaschniętej gliny Somosierry uwierały w butach przez wszystkie te lata, piekły w podbicie. Teraz można wreszcie rozsznurować te buty – i cisnąć je, gdzie popadnie – pisze Wojciech Stanisławski w ramach cyklu „Barwy kampanii”.

Radykalizacja wielu osób publicznych (i prywatnych) nie przestaje zdumiewać. Spory, dymisje, audyty, ba, procesy, ba, wyroki skazujące, nawet takie, które wydają się części obserwatorów niesprawiedliwe lub rażąco niewspółmierne – tak, są to pewnie niezbyt sympatyczne, lecz oswojone w świecie zachodnim praktyki polityczne po pokojowej zmianie władzy.

Ale publiczna drwina z żon i dzieci więźniów? Wydawałoby się, że są to zachowania mieszczące się poza normą społeczną: tymczasem dietetyczka-celebrytka, która je praktykuje, zdobywa z tego tytułu poklask i uznanie. Podobnie z nakazem uszanowania krzywdy czy dyskomfortu przeciwnika. Kodeksy rycerskie (ale i mafijne, i podwórkowe) uczyły nas szacunku dla tego, kto wytrwale znosi ból. Wszystkie te gesty, czasem szczerze, czasem teatralne – szpada dla majora Sucharskiego, pojedynek Zbyszka z Rotgierem w „Krzyżakach”,

uścisk ręki po meczu bokserskim – służyły budowaniu pewnej postawy. Dziś przekreśla je aktorka, która stawiała pierwsze kroki na scenie jako hostessa w „Kole Fortuny”, a obecnie żartuje sobie z głodówki więźniów – oraz były wysoki urzędnik państwowy Paweł Wojtunik, figlarnie doradzający: „Kiedyś najlepszym sposobem na opuszczenie celi był »połyk«” (tweet z 23 stycznia).

Rzecz nie sprowadza się jednak do drwin i pogardy, do publicznego życzenia śmierci („niech zdycha”) czy, jak w przypadku pana Łukasza Rybarskiego, aktora kabaretowego, wykwintnych żarcików o gwałceniu więźniów w celi. Radykalizacja postępuje: są media, w których o jednej z polskich partii politycznych nie mówi się inaczej niż per „mafia”, muzycy (jak Piotr Bałtroczyk) i ministrowie demonstrują lekceważenie wobec prezydenta RP, a wpływowi prawnicy i politycy rozważają możliwość odwołania go przed końcem kadencji. Zapowiedzi surowych wyroków, propozycje obalania pomników zmarłej tragicznie głowy państwa, dymisje i deletowanie – te znane składowe krajobrazu ostatnich tygodni noszą wrażenie, jakby ich sprawców ogarnął nastrój zbiorowego uniesienia. – *Écrasez l’infâme!* – słyhać w zgiełku, w którym prócz tego dobiega jedynie głos pani Katarzyny Błazejewskiej-Stuhr, która – pośmiawszy się już z kobiety, której męża osadzono w więzieniu – światle zaleca włączenie do naszego jadłospisu kiełków rzeżuchy.

Zastanawiam się nad źródłami tej frenezji, tego uniesienia. Oczywiście, należy się wystrzegać monokazualizmu, tych źródeł może być wiele: ktoś doświadczył osobistej krzywdy, ktoś ma zapalenie trzustki (które, jak wiadomo, sprzyja zapalczywości), a komuś innemu marzy się całościowe uzdrowienie systemu politycznego. A jednak, dawny czytelnik pism doktora Freuda, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że

przynajmniej u części osób (szczególnie tych które pamiętają PRL – a przecież dotyczy to sporej części obecnej elity władzy) mamy do czynienia z mechanizmami kompensacji i przeniesienia.

Minęło ponad trzydzieści lat, więc można sobie otwarcie powiedzieć: wielki kompromis historyczny, czyli porozumienie Okrągłego Stołu i jego konsekwencje to nie była – szczególnie dla ludzi wychowanych w tradycji niepodległościowej, w szacunku dla sprawiedliwości, zaangażowanych w konspirę – sytuacja do końca komfortowa. Oczywiście, trzeba było siadać do rozmów – taka była sytuacja, taka była zapaść gospodarcza, taka była okazja, jaką stwarzało osłabienie Moskwy, taka była, możemy to dziś przyznać, słabość „S”, mającej swoich wiernych działaczy i drukarzy, ale nie liczącej już 10 milionów. Napisano o tym wiele mądrych książek, nie zamierzam w tym miejscu bronić „opcji zerowej” ani entuzjastów ludowego powstania antykomunistycznego, które miałyby przypuścić szturm na KC, koszary ZOMO i garnizony sowieckie pod Legnicą.

Więc tak, trzeba było rozmawiać, grać nie kwitując i robić czerwcowe wybory. Ale – pewien niesmak jednak pozostał, jakkolwiek nie zażegnano by go, chwając dojrzałość i umiar Polaków (a przede wszystkim siebie, w roli negocjatorów). Jeden kompromis pociągał za sobą drugi, trzeba było, w imię stabilności państwa, w obawie przed rewoltą aparatu bezpieczeństwa, okazać dobrą wolę wspierając w drugiej turze reformatorów z „listy krajowej”. Trzeba było zagłosować na generała Jaruzelskiego, by mógł objąć urząd prezydencki, i trzeba było patrzeć na to, jak ludzie Kiszczaka palą teczki, inni budują FOZZ, a ktoś jeszcze inny majstruje przy przewodach hamulcowych lancier Waleriana Pańki.

Tyle, że na ten kompromis szli ludzie, którzy przez osiem poprzednich lat śpiewali Kelusowe „Gdy sztuka wróci na afisze / trochę zagramy ją inaczej...”, na zmianę z jedną z najciemniejszych pieśni Kaczmarzkiego z dni stanu wojennego, z refrenem „Mów mi, ach mów / że będzie tak...”. Którzy bezsilnie zaciskali pięści na pogrzebach Grzesia Przemyska i księdza Jerzego. Którzy w kółko oglądali na wideo „Kalendarz wojny”, kadry z milicyjną ciężarówką rozjeżdżającą demonstranta i powtarzali sobie, zgrzytając zębami: o, teraz to już im pokazemy. Teraz nie odpuścimy.

Ale przyszło odpuścić i ja nie robię im z tego zarzutu. Przyszło odpuścić, tym bardziej, że przecież wokół huczało życie, rumiane jak rzeźnia o poranku. Większość zanurzyła się zresztą w to życie tak bez reszty, że wychynęła na powierzchnię całkiem kim innym, bo zmienił się kraj i świat: ze szcęk do supermarketów, z Układu Warszawskiego do NATO, zmieniło się wszystko, a tamci, znienawidzeni? Ucywilizowali się, zaczęli robić interesy, a czasem byli wręcz sojusznikami w wojenkach na górze.

Najtrudniej mieli pewnie ci, którzy trafili do najniższego kręgu piekieł, do szefostwa MSW i UOP. Tym przyszło nadstawiać ucha już nie tylko, jak w „Somosierze” Kaczmarzkiego, na szeptów oddechy, ale na oddechy cuchnące ledwie przetrawioną wodą, na szepty i chichoty o tym, jak gracko wsadza się katabasów do bagażnika. I co? I nic, twarz z ognia jeszcze nieobeschłą musieli w szczerę giąć uśmiechy, bo taka była racja stanu. Bo kompromis. Bo państwo. Straszliwe polskie wybory.

Reszcie było łatwiej, czasem coś mogło ich tknąć: że może ten Adam z generałem trochę już zanadto. Że jednak tamci mają coś za paznokciami, mają swoje teczki i swoje tajemnice – jak to zostało opisane choćby w „Uwikłaniu” Miłoszewskiego. Czasem wracało, w chwili rozczulenia, że pamiętasz, Katz.. Fajnie się te ulotki sypało, precz z komuną! Ale nie było ani potrzeby, ani sensu do tego wracać: kraj rumienił się już nie jak rzeźnia z wiersza, ale jak cały kabanosowy kombinat, a joczeniem o teczkach, wyklętych i uduszonych księżach zajmowali się już tylko frustraci z przegranego obozu politycznego. I co, dołączyć do nich – i dać się zwasalizować, być u nich za przystawkę?

Tak mijały lata, minęła młodość. Ale, jak wie każdy posiadacz kozetki, stłumienie jakiegoś instynktu nigdy nie znika bez śladu: ten otorbia się, owszem. Sublimuje. A czasem – w sprzyjających okolicznościach – żal, uraza, upokorzenie sprzed trzydziestu lat, wybijają na powierzchnię jak wulkan. Niezmienione – owszem – rozjątrzone jeszcze latami, dekadami przełykania śliny, udawania, że nic się nie stało, perswadowania sobie, że to nie jest czas pustych gestów.

I oto – wybiły.

Nie udało się doprowadzić do osądzenia stalinowskich sędziów, propagandzistów czy esbeków – ale można powsadzać do więzień innych. Trzeba było, w imię wolności prasy, cierpieć istnienie tygodnika „Nie” i „Trybuny” – ale można pofolgować sobie przy innych mediach. Przyszło kiedyś godzić się na uwłaszczenie nomenklatury w imię kompromisu narodowego, patrzeć na byłych dyrektorów wykupujących za bezcen zakłady, na których czele postawiła ich kiedyś partia – no, ale

teraz prześledzimy naprawdę wszystkie dotacje i przelewy. Trzeba było powtarzać „pacta sunt servanda” – a teraz można zrzucić ten duszący kołnierz, powiedzieć „nie ma was”, albo „zaraz was nie będzie”. Grudki zaschniętej gliny Somosierry uwierały w butach przez wszystkie te lata, piekły w podbicie. Teraz można wreszcie rozsznurować te buty – i cisnąć je, gdzie popadnie, nie troszcząc się, że komuś świsną koło ucha.

Dobrzy freudyści uważają, że reakcja przeniesienia, wyzwolenia stłumionych przez lata emocji, może być wręcz sercem procesu psychoterapii: że jeśli pacjent przeżyje te uczucia ponownie w relacji terapeutycznej, uzmysłowi sobie ich moc i nauczy je kontrolować. Można więc mieć nadzieję, że inicjatorzy obecnej kampanii *Vae victis*, śpiewacy karmanioli – przynajmniej ci starsi – przeżywszy wreszcie czas wyzwolenia, który ongiś nie był im dany, dojdą do ładu ze sobą. Kto wie, może nawet zaproponują znieawidzonym wrogom, by zasiąść do okrągłego stołu?

Wojciech Stanisławski

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
